Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 45. Poznań dnia 4. Lutego. 1839.

Literatura zagraniczna.

Boz (Charles Dickens).

Od autora zaatlantyckich podróżnych szkiców nie wystąpił w całéj europejskiéj literaturze, równie potężny talent, któryby z taką zajmującą prawdą przeniknął otaczającą go przedmiotowość, jak Dickens w swych Pikwikach. Pełną czerpany czarą, wytryskuje z pod jego pióra orzeźwiający i przezroczysty zdrój rodzimego angielskiego życia, odświeżający w naszych czasach zaniedbany gatunek komicznego romansu, w którym Fielding, Smollet, Sterne i Goldsmith w swoim czasie tak się wsławili. Dickens prześcignął daleko swe wzory: jego humor jest szlachetniejszy, jego cała dążność wyższa, więcéj do ideału wzniesiona. Zamiarem autora jest kreślić obrazy z życia angielskiego ludu, aby go tem samem przywieść do świadomości własnéj i dojrzalszéj rozwagi. Wesoły jego humor zaczyna na pozór bawić fantazyą czytelnika, daléj atoli nabiera coraz więcéj powagi i mocy w obrazach i charakterach; aż nareszcie do prawdziwéj wznosi się tragiczności. Jeszcze krok jeden, a Dickens stanie w romansie na tym szczeblu sławy, na jakim w dramacie stoi nieśmiertelny Shakspeare. Niektóre utwory jego są tak pełne życia, pojedyncze sytuacye tak niezrównane, iż potrzeba tylko, żeby je autor wzniósł do wyższéj sfery towarzystwa, nadał im powszechniejszy interes, skoncentrował bardziéj swój, obyczajem angielskich pisarzy, czasem nieco za rozwlekany wykład, a będzie pierwszym mistrzem w trudnéj sztuce wiernego malowania człowieka. Dickensa wielu przekłada nad Bulwera, tak powszechnie lubionego pisarza, dla tego iż jego obrazy są daleko naturalniejsze i trafniejsze. Oto są jego dotąd wyszłe dzieła:

W Pikwikach zaczął Dickens wyszydzać angielskich klubistów, wystawiwszy w osobie pana Pickwicka pocieszny oryginał niezmordowanego, ale oraz ograniczonego i głupiuteńkiego uczonego badacza. Późniéj jednak postrzegłszy się, że ta materya nie dostarczy długiego wątku, zmienił plan, dając swemu przedmiotowi ogólniejszy zakres, tak iż teraz Pikwik i jego godni przyjaciele polują, że tak rzekę, na osobliwości charakterów, i skrytości serc ludzkich. Jak więc ci z powołania dobroduszni postrzegacze w swem niezmordowanem usiłowaniu, na tę i ową stronę potrącani, częstokroć w najśmieszniejszą wpadają tarapatę; tego nikt dowcipniéj, jak nasz autor opisać nie potrafi i nie znamy innego romansu obudzającego tak żywy i coraz bardziéj wzmagający się interes. Figura Sam-Wallera jest cudna! takiego służącego żaden jeszcze nie utworzył poeta, a jego uwięzienie wraz z p. Pikwik za długi, jest prawdziwie mistrzowskie, wnikające w najskrytsze tajniki życia angielskiego ludu. Zdaje się, że w tym obrazie poznał się Dickens na swym prawdziwie twórczym talencie: odtąd zaczyna zawsze swe obrazy od pewnéj klassy ludu; jego humor coraz więcéj nabiera sprężystości i mocy.

Po Pikwikach napisał jeszcze autor, w bardzo krótkich po sobie przerwach, dwa ważniejsze dzieła, w których tenże sam talent świetniej[e]: *a*) Życie i przypadki Mikołaja Nickleby i jego familii; *b*) Oliwer Twist, czyli historya pewnego sieroty.

W Nikleby skreślone są cierpienia utalentowanego młodzieńca, który od swego bogatego stryja opuszczony, przymuszony sam starać się o utrzymanie, udaje się za pomocnika do pewnego niegodziwego szkolnego batożnika, utrzymującego pensyą. Ten p Squeers, jego godna małżonka i corunia, jako też owa cała manipulacya szkolna oddane są wybornie. Smike przez swych opiekunów opuszczony chłopiec, a teraz jako posługacz poniewierany, jako też sam Nikleby, idealny bohatyr, odbijają tragicznie od tak niegodnego towarzystwa. Ostatniego rozmowa z członkiem pewnym parlamentowym, u którego chce przyjąć obowiązki sekretarza, jest *non plus ultra*, ustęp nie mający nic równego w całéj literaturze komicznego romansu.

Oliwer Twist, biedny sierota, jeszcze silniéj porywa; ale tu prawie za wiele powagi w komicznéj sztuce: ta nędza dziecięcego wieku zbyt rozdziera serce,

aby nas Dozorca i jego poczciwa żona, choć to są doskonałe nizko komiczne postacie, zajmować mogły. Opis londyńskich złodziejskich praktyk i fortelów, jaskinie łotrów żywemi kolorami oddane. Tu szczególnie talent Dickensa godzien podziwienia, umiejącego i w najsroższem upodleniu obudzić wszędzie uczucie ludzkości: postaci Zyda i Hannulki są tak wyraźne, tak prawdziwe i serdeczne, że nas porywają ku sobie, jak sama prawda. Nigdzie nie napotykamy owéj oderwanéj, naciąganéj komiki, owych motywów nienaturalnych; wszystko samo z siebie się rozwija, pełnem oddycha życiem i tchnie samą naturą i prawdą.

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Anti-Ironia życia.

I po cóż dzikim śmiechem ironii
Fałszować dźwięczne tony harmonii,
Zmysły i serce ostudzać?
I z piersi wiary promienie wywiać,
I twarz człowieka dziwnie wykrzywiać,
Z błogiego snu go obudzać?

Gdy myśl człowieka grą wyobraźni,
Tajemnym ogniem głazy podraźni,
Na głazach kwiaty porosną;
Lecz ziarno kwiatu uschnie bezdzietnie,
Chłodem rachuby gdy myśl się zetnie,
Żegnaj go na wieki z wiosną!

Kiedy raz człowiek na ziemię stąpi,
Jak zdrój ożywny niech wód nieskąpi,
Na kwiaty nadbrzeża krasne;
Nie jak kometa szyderstw Bajrona,
Żółcią z pod serca zaczerwieniona,
Co rzuca światło niejasne.

Kto wpatrzy oko w przyrody oczy,
Kto jéj sukienką pierś swą otoczy,
Z ust strumień wyrzuci pieśni;
Lecz od jéj piersi gdy się odłączy,
Wprzód za nim wszystek pokarm wysączy,
Gorycz mu usta zacieśni!

I twarz człowieka dziwnie skaleczy,
Jak lekarz, który trucizną leczy,
Wydartą z mózgu tyranów;
I urąganiem, jak gradobiciem,
Wszystko co błogim jaśniało życiem,
Zmieni na hecę szatanów!

Myśl lekka, jako sieci pajęcze,
W człowieka piersi, serce zajęcze,
To życia czysta ironia;
Lecz myśl, jak gęsta jedwabiu tkanka,
Pierś, jak ożywna rosa poranka,
To życia anti-ironia!

Człowiek ma serce, śmiech niechaj krąży,
Jak przy kielichu, lecz niech nie zdąży,
Uczucia zakrwawić zdradnie;
Ziarno ironii niechaj rozpusta
Na same tylko posieje usta,
Lecz w sercu niechaj przepadnie!

Bo gdzie harmonia tonów bez końca,
Jak mgła poranna dymi do słońca,
Pośród serc milionów bicia;
Po cóż tam kruka język nieczysty,
Ma mieszać zgody hymn uroczysty,
Hymn, pełen płomieni życia!

Myśl lekka jako sieci pajęcze,
W człowieka piersi serce zajęcze,
To życia czysta ironia;
Lecz myśl, jak gęsta jedwabiu tkanka,
Pierś, jak ożywna rosa poranka,
To życia anti-ironia!

16. Sierpień 1836. r. *E. W.*

W i e s z c z.

Jak przed burzą, słyszałeś, niźli rykną gromy,
Zwarte chmury wrą w głębi głucho, nieruchomie,
Niżli na raz wyleją wód swoich ogromy,
Potém błysk, grzmot, a w końcu leci grom po gromie;
Przed chwilą ciemne tylko wisiały obłoki,
Teraz już całe niebo w błyskawicy stoi,
A ciężka, czarna massa rozpryska się, dwoi,
I z łona ciężarnego leje wód potoki;

Taka w méj piersi zdawna gotuje się burza,
Ona w twarzy, jak obłok, czoło me zachmurza,
W słowach niezrozumiałe dziś słyszycie dźwięki,
Głuche jakieś i dziwne przedgromowe jęki;
Może nadejdzie chwila, twarz rozświecę błyskiem,
W ludzkość jak gromem słowa uderzę pociskiem.
Z piersi ciężarnych burzą, pieśń potokiem lunie,
Jak dźwięk silnie lecący po wstrząśnionéj strunie.

Widzieliście po burzy niebieskie błękity?
Bezchmurne — słońcem świecą dalekie gór szczyty,
Cała przyroda bóstwa majestatem strojna,
Zielono — bujno — wolno — kwitnąca, spokojna!

Taką pogodą lica ustroję po burzy,
Bo się szczęściem ludzkości me czoło rozchmurzy.

F. Ż.

Karykatury historyczne.

1. Albertus. 1625.

(Napisane dla Tyg. lit. przez J. J. Kraszewskiego.)

Wiecie wy miłościwi czytelnicy moi, kto to jest Albertus? ów waleczny rycerz Zygmuntowskich czasów, ów plebański wychowaniec, a potem tak sławny bohater?

O! zapewnie nie — bo któż z was pojdzie po taką wiadomość do zapleśniałych, zbutwiałych ksiąg siedemnastego wieku, jednym niezrozumiałych, drugim nudnych, a wszystkim dość nieciekawych. — Otóż, żebym wam oszczędził szperania, powiem krótko życie a sprawy Albertusa. — Krótko — albowiem, zostawiam sobie wolność powrócenia do téj wielkiéj historyi, któréj brak tylko Cerwantesa, żeby miała sławę i wziętość Don Kiszota.

Albertus — (niema bowiem innego nazwiska, chociaż zkąd inąd samo życie, odkrywa w nim szlachcica) urodził się niewiadomo gdzie, wychowany u księdza proboszcza za piecem, na chórze, w chlewie i w zakrystyi i w szkole i na polu, był chłopcem od służby mszalnéj i pastuszkiem, wielką figurą w processyi, gdy go okryto świeżo pocerowaną komżą, a wieczór nikczemnym zaganiaczem gęsi. — Tak od rannych lat swoich, dwoistéj i tajemniczéj natury, wprawiał się do dalszego życia wielkich tajemnic i nieszczęść. — W sercu jego wielkość chwilowa obudzała zapał i dumę, upokorzenie je rozdrażniało. Albertus, powtarzam, był szlachcicem. Jakim sposobem? jakiego herbu? tego wyznaję, że niewiem, lecz jego szlachectwo potwierdziło życie późniejsze. W tamtym wieku wiele znaczyło szlachectwo!! O! zaręczam wam, było to narzędzie wagi, w zręcznym ręku. — Lecz słuchajcie!! (jeżeli chcecie.)

Życie jego ubiegło nędznie, z młodu na ławkach szkółki plebańskiéj, na zydlu pod piecem, nad elementarzem tłustym pod rózgą i kułakiem mistrza Klechy, a niekiedy w dniach feralnych starego jednookiego dzwonnika. W tych dniach nawet pies podworzowy go kąsał. Są takie dni w życiu człowieka!

Lecz Albertus wkrótce uprzykrzył sobie takie życie, — wrzała w nim chęć sławy, a więcéj jeszcze pobudzała żądza lepszego bytu; patrzał on codziennie na żołnierzy wybierających niemiłosiernie stacye, i pomyślał sobie, że stan, w którym wolno wszystkie kury i gęsi, przechadzające się na drodze łapać, łajać wszystkich i bić większą część ludzi słabszych, był jednym z najszczęśliwszych. W skutek téj myśli, poskrobawszy się w głowę, w sieni, na progu i we drzwiach, wszedł raz Albertus, kłaniając się niezgrabnie, do ks. proboszcza: »Mości księże, ja chcę iść do wojska. Król IMość rozesłał wici na wojnę, wszystka szlachta się kupi, mam już wąsy i ochotę: zdaje mi się, że ze mnie będzie żołnierz.« — Biedny stary ksiądz, usłyszawszy to, zerwał się z krzesła i zawołał: »Co ty pleciesz warchole?« A z drugiego kąta wyrwała się Magda kucharka, krzycząc: »Co? ty chcesz iść na wojnę? Wojtaszku!« — »Tak, chcę iść bić się i rabować.« — »I zginąć!« — »O nie!« odpowiedział Albertus, »zginąć nie chcę, — mam na to dane od Boga nogi, żebym nie zginął.« — »Nie lepiejżeby ci,« rzekł ksiądz, »zostać kantorem lub klechą na starość?« — »A! nizko Waszmości kłaniam,« śmiejąc się i kiwając głową przebąknął chłopiec, »widzę ja wieleto klechów z kantorami chodzi o torbie i kiju po Podgórzu, i wlekąc za sobą żaków bez chleba i dzwonników! niechcę żebrać, kiedy mogę rabować i nikogo się nielękać.« — Ksiądz patrzał mu w oczy: »I chcesz się potępić w tem rzemiośle szatańskim.« — »I nie,« rzekł Albertus, »będę codzień mówił pacierz, wszak to dosyć?« — Ksiądz sam niewiedział, co mówić i ruszał tylko ramionami i głową, spoglądając, to na Magdę, to na niego. — »Ale cię tak bez grosza i bez szabliska nawet, ani za towarzysza, ani za pachołka nie przyjmą, nie masz konia, zbroi, i nic a nic.« — »Waszmość mi to dasz,« odpowiedział bohater, »konia kupisz, zbroi dostaniesz, a jak powrócę z wojaczki, to Waszmości zapłacę.« — »Ba! ba!« rzekł ksiądz, kiwając głową i wykrzywiając gębę. — »O nie,« podchwycił Albertus z determinacyą, »to ja i sam wezmę trochę talarków, bo wiem, gdzie są.« — Na te ostatnie słowa ksiądz proboszcz zarumienił się, zatrząsł i drżąc cały odpowiedział: »No! no! kiedy takie Waścine powołanie, Albertusie, — nie będę kontrował, to jedźże w imie Boże, już ja cię wyprawię; pojdziem do miasteczka naprzód za koniem.«

I poszli do miasteczka tegoż jeszcze dnia, bo to był targ właśnie. Trafiało się im wiele koni, ale żaden do smaku. Ksiądz chciał taniego, Albertus rosłego, a na nieszczęście wszystkie, co tam były na przedaż, albo były rosłe, co ich się było niedokupić, albo małe marchy żołnierzowi nie zdatne. Nareście ujrzeli koło karczmy wiodącego z całéj siły, a raczéj wlokącego za sobą wielkiego a chudego konia — rostruchana.

Albertusowi wpadł rumak w oko — nuż w targ, dostali go szczęśliwie za cztery talary. Prawda, że był ślepy, ale za to nie lękliwy, chudy ale spokojny, stary ale doświadczony. Tak go sobie tłómaczył i pocieszał się Albertus, prowadząc go do domu, a sam idąc pieszo, aby konia nie strudzić.

Za powrotem postawiono go tymczasem w szkole, usunąwszy ławek, i dano mu owsa odkradzionego gęsiom pani Magdy. Ks. proboszcz krzątał się tymczasem za resztą wyprawy, aby co prędzéj pozbyć się z domu niebezpiecznego i podejrzanego ptaszka.

Przypomniał sobie, że po nieboszczyku ojcu był stary żelazny szyszak niedobitek z wołoskiéj wyprawy, w którym z dawna kury się niosły; ale go Magda chętnie odczyściła, rzemyki powszywała, wytarła, nasmarowała olejem na zawiaskach i zaraz przypadł Albertu-

sowi do głowy, jakby głowa do niego, albo on do głowy był robiony.

Znaleziono też w zakrystyi od pogrzebowych figur i grobu w. piątkowego rycerzy, kawałki zbroi starych naramienniki, napierśnik i inne żelastwa, którym tylko, aby mogły być użyte, brakło rzemyków i drobnych sprzążek, łatwo dających się zastąpić sznurkami. Dzidę zrobił kowal, szabli dostarczył święty Michał, który niewiedzieć jakim sposobem niepotrzebną demeszką zamiast blaszanego miecza bawił się w zakrystyi na wygnaniu; pistolet wojt ofiarował, a kurtę nowiuteńką uszyła Magda ze staréj księżéj sutanny. Tak zbrojny rycerz, dostawszy od arędarza cóś nakształt siodła, bez strzemion prawda, lecz ze sznurkami może i wygodniejszemi jeszcze; — już był tak, jak gotów do drogi. — Magda upiekła kołaczy, małdrzyków, narobiła gomółek, uwarzyła garnek kaszy, jakby w dzień zaduszny dla dziadów, dała trochę owsa dla konia, bułkę chleba, parę syrów, kawał szperki dla pana — i Albertus już wyjeżdżał.

O, cóż to była za chwila we wsi, co to za lament w plebanii, kiedy na wojnę wyjeżdżał Albertus! Wszyscy powychodzili z domów i patrzyli na zucha, co się nie lęka zajrzeć w oczy działom, szablom i rusznicom. Albertus tryumfował, ksiądz płakał i ocierał łzy rękawem, Magda fartuchem, kantor połą, zakrystyan wąsami — reszta widzów, jak mogła. Ubrano konia, który przeczuwając ciężar wielkiéj sławy swojego pana, stał ze spuszczoną głową i rozdartem nożdrzem, z którego mu coś nakształt nosacizny wyglądało. Zazdrośni mówili, że nosaty — lecz któż niezna zazdrosnych! Oni także mówili, że Albertus drżał. Zawieszono na nim siodło, z jednéj strony garnek z kaszą, z drugiéj worek z owsem, szyszak, a w nim węzełek z jadłem, parę bótów od przypadku i sakwy próżne jadące na wyprawę. Już tylko brakło rycerza.

On się żegnał ze łzami, kichał i płakał i ściskał przytomnych, wreście siadł z prawéj strony i zaciął marchę, która o cuda! poszła wolnym stępem przez ulicę, wśród patrzących tłumu. Sam nawet arędarz wyszedł z czeredą bachurów przed karczmę, patrzeć — na swoje siodło umocowane pod rycerzem.

Ledwie tak kawał drogi ujechał Albertus, aż oto spotkał kilku konnych. — Byli to żołnierze. Szczęśliwe spotkanie. Albertus się skłonił nizko: »Za pozwoleniem, Mości rotmistrzu!« Tak pochlebny tytuł zatrzymał starszego jadącego za rabunkiem do wioski, »Jadę, zaciągnąć się do wojska, czybyście mnie nie przyjęli?« — Rotmistrz mniemany obéjrzał go od stóp do głowy: »A zkąd jedziecie?« — »Z téj wsi, co tam w gaju.« — »Szlachcic?« — »Jak sam wojewoda, mosanie! szlachectwo od króla Popiela.« — »Od króla Gwoździka i brata jego Ćwieczka!« przerwał śmiejąc się jeden. — »Ale jakąż to masz marchę? czyś ją wziął żydom od śmiertelnéj skrzyni z okopiska?« — Ten koń kosztuje mnie cztery talary.« — »Potrafisz bić się?« — »Bić się? hę? a na cóż?« mruknął Albertus, »ja potrafię stacyą wybierać i to lepiéj!« — P. rotmistrz się rozśmiał. — »Przyjmujecie mnie, panie rotmistrzu? —.« — »Ha! jedź sobie z nami, kiedy chcesz!« — »Uszczęśliwiony Albertus, że się tak na nim prędko poznano, pojechał; ale szczęściem dla niego, że nie prędko jechali, bo mu koń coraz mocniéj kulał i coraz bardziéj ustawał. Owies wzięli towarzysze, gomółki i kołacze pojedli, talary przepili i jeszcze się śmieli.

Nareście złączyli się z chorągwią i pojechali do Lublina. Któż to niewie, że w tym już czasie Lublin był podwojny, jeden czyściejszy na górze, drugi błotnisty, żydowski w dole, przedzielała je wielka brama, Grodzką zwana; ale od wjazdu do bramy, wyściełało drogę błoto, jakiego świat nie widział. Zapach jego, kolor i gęstość po deszczach jesiennych — osobliwszéj w swoim rodzaju doszły doskonałości. — Zaledwie wjechali w żydowskie miasto; koń, który już się wlókł zaledwie, w kałuży stanął i uparł się odpoczywać. Na próżno go bił Albertus, towarzysze kłuli z tyłu, biedny staruszek coraz głębiéj grązł w błocie, i wreście położył się w kałuży. Albertus zwołał ludzi, aby go ztamtąd wyciągnąć. Ależ jak go ciągnąć? z przodu? to go zaduszą; za ogon? uwiązali sznur, wytężyli siły i .... ogon się urwał. Szczęściem, że był przyrobiony; ale w chwilę potém i koń zdechł w błocie.

Albertus został się pieszo, smutny, zły i zawstydzony. Co to jest szlachcicowi zostać pieszo! Lepiéj jeszcze, o sto razy lepiéj, stracić rękę lub nogę niż konia. Szlachcic wygląda pieszo, jak prosty ciura, jak Niemiec żołdak, jak Węgier, jak heretyk, jednem słowem. Całą noc płakał Albertus, włocząc się od szynku do szynku po mieście, a nad rankiem konno przyjechał na zamek.

Zkąd wziął tęgiego konia — nikomu niepowiedział. Ale wojska szły na nieprzyjaciela, — wszyscy zapomnieli o stacyi. Albertus modlił się po cichu i mówił w sobie: przynajmniéj ja niezginę. Chorągiew ich szła z tyłu, rabowali po drodze. Ach! co to był za żołnierz nieustraszony, na baby, na starców, na dzieci i chłopstwo. Nikogo się niezląkł, ani wojta, ani arędarza — ani nikogo.

Znaj huk mosanie! ile to kur, gęsi i prosiąt padło pod jego ciosami! ile to tryumfów! — Ale jednego ranku ścisnęły się chorągwie, — już byli w ziemi nieprzyjacielskiéj; — strach chodził po kościach rycerzy, — bo i

najmężniejsi się boją, a dla tego tylko są mężnymi, że choć się boją, idą. Gdyby się nie bali, nie zwano by ich mężnymi; to rzecz naturalna. Albertusowi, który się bał tęgo, śniła się ciągle śmierć podrzynająca mu gardło, jak on niegdyś kurom i gęsiom szablą je podcinał. Śmierć, któréj od młodu napatrzył się na chorągwi kościelnéj, chuda, biała, z kosą i wyszczerzonemi zawsze zębami, które zdają się zgrzytać, gdy chorągiew zaszeleszcze. Były to fałszywe przeczucia. Nazajutrz miała być bitwa; — chorągiew Albertusa została na skrzydle. Wcześnie obejrzał się on, którędy najlepiéj będzie uciekać, bo chciał się na wszelki wypadek zabezpieczyć, i czuł bogobojny wstręt od zabójstw; kury jeszcze jak kury, ale ludzie, to co innego! Najprzód, że się mogę bronić, a potem, to może jacy dobrzy ludzie. Miałbym na sumieniu! Rano, raniuteńko zabrzmiały trąby i kotły, pył zaczernił się pod kopytami, jazda szła na nieprzyjaciela. — Koń Albertusa niósł go za towarzyszami. Co się działo w jego sercu, nieopiszę; biło mu ono szeroko od głowy do pięt, czuł je w całych piersiach, i niekiedy zdawało mu się, że mu gębą wyleci. Konie biegły; a w tém buch! buch! wystrzeliły działa ogromne, rusznice, wszystko, co tylko wystrzelić mogło, i dym skrył pobojowisko.

Amen! zawołał Albertus, zawrócił z całéj siły konia i pomknął w bok do rowu. Koń i on padli w rowie, daleko od pobojowiska pod lasem. Bohater stłukł się, serce mu biło, w oczach się ćmiło i myślał wzdychając: Ach! co to za ciężkie rzemiosło, ta wojna, lepiéj jeść kaszę za piecem! ach lepiéj!

Tak sobie westchnąwszy zaczął rożaniec i położył się w rowie, a działa tak głosno huczały, a walka tak długo trwała. — Nareście swoi wygrali; poznał to Albertus po minie wojska, i gdy już wszelkie strzelanie ustało, dobiegł towarzyszy zbłocony, zbladły, wmięszał się do swoich i trupów obdzierać zaczął.

To, to wcale nie źle, mówił do siebie, szukając po kieszeniach, taką wojnę, to lubię; ale to strzelanie, niewiedzieć, do czego, — może być kalectwo. Gdy tak obdziera w najlepsze, powadził się z żołdakiem, dostał po łbie i położył się na polu przestraszony i wpół tylko żywy, a krwią zlany. O północy ledwie przyszedłszy do siebie, dowlókł się do obozu i naładowawszy kieszenie, trafił do swojéj chorągwi, opowiedział, jak się bił okrutnie i jak został ranny przez okropnego Tatara, któremu chciał wydrzeć chorągiew.

Wszyscy chwalili jego męztwo. Nazajutrz syt chwały, Albertus niechcąc się już narażać, cofnął się z kilku odważniejszymi w tył za wojsko i postanowił nie przybywać na bitwę, aż po bitwie.

Tak przeszła cała owa Albertusowa wyprawa, bez szwanku, a z korzyścią i sławą. Co złupił na pobojowisku, w nocy przepijał i w kości przegrywał. Gdy przyszło wracać, a wojsko rozpuścili, wrócił do rodzinnéj strzechy, wioząc u pasa pęk kur pozabieranych po drodze, stary łuk tatarski wygrany w kości, sachajdak odarty i parę ogromnych ostróg żelaznych. Po drodze wybierał sobie stacyą nieborak, i tak dowlókł się nareście do plebanii.

Ach, jakże mu serce biło, gdy z daleka ujrzał kominy dymiące na pogodnem niebie i pochylony krzyż kościołka, i stare drzewa, w których się ukrywała plebania. Czas przyszedł odpocząć, i łzy kręciły mu się w oczach, na wspomnienie lat dziecinnych, owych gęsi, które pasał, owych pieśni, które śpiewał, wróbli, które po wierzbach wykręcał, gwiazdy, z którą chodził na Boże-narodzenie i t. d.

Nareście wjechał w wieś. Wszyscy na widok żołnierza pouciekali i pozamykali się w chatach: — nikt go nie poznał. Znać, żem zuch, pomyślał sobie, kiedy mnie się tak boją; — i jechał do plebanii.

Ksiądz stał na progu z brewiarzem w ręku. Magda doiła krowę, klecha łatał bóty, a dziad skubał pierze na ganku. Czuły to był widok!

»Albertus!« zawołał ksiądz, »ach! to ty? i cały i zdrów!« — »Ja to, Mości księże!« odpowiedział rycerz i skoczył z konia, aby go uściskać. — »Postaw konia w szkole po dawnemu i chodź do kościołka; panu Bogu podziękuj, że ci tu cało dał wrócić.« — Albertus potrząsł głową: »Dajcie no jeść!« rzekł, »dajcie jeść wprzody!« — Magda pobiegła po misę, a wieść o przybyciu Albertusa, całą wieś sprowadziła na słuchanie przygód cudownych wojaka, który zaiste potrafił więcéj nawet powiadać, niż zrobił.

Nareszcie dni swoich znużony i skołatany pozostał on przy ks. plebanie, nie zrzucając jednak stroju wojskowego, szabli, ostróg i wąsów.

Na tém się kończy historya Albertusowéj wyprawy. Odtąd resztę dni mieszkał przy księdzu, strasząc całą wieś swojem męztwem i historyą. Wszyscy go poważali niezmiernie, dziwując się, jak to z małego Wojtaszka urosł taki rycerz tęgi. Pośrednik naturalny między chłopem a wojskowym, w kłótniach między nimi stawał przy swoich dawnych towarzyszach broni i chlubił się do saméj śmierci z wrażenia, jakie czynił na chłopach, dzieciach, a niekiedy nawet na starych babach. — Niektóre episody téj epopei drugi raz wam opowiem.

Omelno. *J. J. Kraszewski.*

Frankiści.

(Dokończenie.)

Dwaj dopiero znaleźli się prorocy Adonaj i Melechim, ci płaszcz i sandały podjęli i poszli w świat daleko, szukać takiego, coby je odziedziczył. Gdy raz zbłądzili w Grecyi, znalazł się Turek, który ich na drogę wyprowadzał. — W ciągu rozmowy postrzegli w nim wielką mądrość, znał i kabałę, to jest sztukę robienia cudów, przyjęli go więc prorocy na Mamina, a nawet oddali mu płaszcz i sandały; wdział natychmiast te insignia najwyższego kapłaństwa, wzbił się w powietrze, może wiele wieków latał, aż upadł w Polsce gdzie pod nazwiskiem Franka kościół budować zaczął. Kiedy w Warszawie wszczęła się zaraźliwa choroba i wielu zabrała Maminów, pytali się swego kapłana Franka, czyby jéj zapobiedz nie umiał. »Jeden« odrzekł »jest tylko sposób, to jest, jeżeliby się znalazł między wyznawcami taki, któryby za lud swój śmierć dobrowolną i z zupełnem poświęceniem ponieść umiał. Zgłosiła się do téj ofiary jego żona. Natychmiast Frank uzbroił się siekierą i głowę jéj na próg położyć kazał. Gdy po modlitwie przyklękła i już w pogotowiu oczekiwała śmiertelnego ciosu, te przemówił słowa: »Białą jesteś przed obliczem twego Boga, jak te białe suknie, co ciebie odziewają; przepowiadam ci kobieto dla ciebie, dla twoich dzieci, dla twoich wnuków szczęście, jakiego oko ludzkie nie widziało, jakiego serce ludzkie nie przeczuwało;« i bez ucinania głowy wstać kazał żonie, upewniając obecnych, że Bóg przyjął chęć za skutek. Czyn ten pokazuje wyraźnie, że Frank widział, iż Żydom do osiągnięnia wielkiego celu brakuje jedynie wiary w poświęcenie się za ogół i że tę obudzić usiłował.

Po uwolnieniu z Częstochowy osiadł Frank w Offenbach nad Renem, wielu uczniów wyszło za nim z Warszawy. Umarł już w podeszłym wieku, miał swoję śmierć kilku dniami przepowiedzieć, przepisał suknie, w jakich ma być chowany i te dobranym dziewczynom swego wyznania szyć kazał. — Jeszcze po dziś dzień do jego grobu przyjeżdżają nabożni pielgrzymi.

Zdaje się, że wielkie kapłaństwo przeniósł na swoję córkę, któréj w następstwie substituował familią warszawską M. — Nie raz między Frankistami polskimi człowiek podeszły odbiera, bez pytania na co? składki w tysiącach; sam zawsze w niedostatku, ale w poszanowaniu u swoich współwyznawców bogatych i uczonych. Frankiści mają wszelkie przymioty i wady ludzi należących do tajemnych towarzystw: wielkie u nich braterstwo, wielka pracowitość, wielka usłużność dla sprawy ogółu, ale też zapamiętałe bieganie za znaczeniem i osobistem i członków korporacyi, krzykliwe popisywanie się z dowcipem, wynajdywywanie pobocznych wschodów i strojenie wszelkich kabał. Lubo Frankiści warszawscy z żydów pochodzą, polskiéj duszy zaprzeczać im nie można i nawet męztwo stało się ich przymiotem. Z powodu to Frankistów w bezkrólewiu po Auguście IIIcim Czartoryscy objaśnili, że statut litewski wychrztów szlachtą nie robi, lubo słowa statutu wyraźne były, jak światło słoneczne. Sądzilibyśmy, że w archiwach Czartoryskich muszą się znajdywać ważne objaśnienia całéj rzeczy; podobno i biblioteki lwowskie jednemu uczonemu dostarczyły materyałów do napisania historyi Franka. — W reszcie i akta ministeryum policyi w Berlinie musiałyby dać nie jednę wskazówkę, gdyż wiadomo, że policya południowo pruska udybała całą korporacyą na walnem zebraniu i śledztwo rozpoczęła. *F. N.*

Przegląd pism.

Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach przez Józefa Łukaszewicza. 2 tomy. W Poznaniu 1838. r.

(Dalszy ciąg.)

O Żydach w Poznaniu (z 1go tomu str. 71.).

»Czacki i Naruszewicz, opierając się na powadze świadectwa Galla i Anonyma u Sommersberga, twierdzą: że Żydzi byli w Polsce już w 11stym wieku. Nie wchodząc w rozbiór tego twierdzenia, utrzymuję śmiało, że Poznań nie znał jeszcze w środku 13go wieku Żydów. Albowiem gdy w roku 1253. Przemysław I. i Bolesław, książęta wielkopolscy, część miasta Poznania na lewym brzegu Warty na prawie magdeburskiém osadzili, w przywileju lokacyjnym nie wspomnieli ani słowa o Żydach. Gdyby wtenczas Żydzi w Poznaniu byli się znajdowali, czyż Przemysław przemilczałby był w przywileju wspomnionym o ludu, którego Chrześcianie nienawidzili, którego spółeczeństwa jak ognia unikali? czyż mieszkańcy Poznania nie byliby sobie wyjednali jakiegoś oznaczenia stósunków swoich z Żydami? Również nie znajduję w archiwum miejskiém żadnego śladu bytności Żydów w Poznaniu do końca 14go wieku. Jeżeli tedy w tym czasie już byli w tém mieście, liczba ich musiała być zbyt szczupła, a obroty ich handlowe nieznaczne, gdy nie ściągnęły na się uwagi kupców chrześciańskich. Zdaje się, że słabość Kazimierza W. ku Esterce, napełniwszy kraj cały Żydami, ściągnęła ich także do Poznania. Przynajmniéj pierwszy ich dopiero ślad w tém mieście jest w znajoméj czytelnikom historyi trzech hostyj na schyłku 14go wieku, którą Treter w tłómaczeniu polskiém Niedźwiedzkiego tak opowiada:

»Roku 1399. Żydzi rabinowie duchem diabelskim pobu»dzeni, wszelkie sztuki i sposoby przedsięwzięli, którémiby »hostyą w ręce swoje dostać mogli. Ani czart, pomocy swo»jéj ubliżył, który niewiastę chrześciańską dużo ubogą, a cór»kę jedynaczkę mającą, swém poduszczeniem do tego przy»wiódł, że u Żydów poznańskich przyjęła służbę. Gdy tedy »na ich usługach zostaje, Żydzi chęć jéj nabycia najświętszéj »hostyi otwierają, nadzieją obfitéj zapłaty niewiastę zachęca»jąc, aby im w tym zamyśle usłużyła. Gdy zbrodnią już »dawno umyśloną bezbożna niewiasta do skutku przywieść »postanowiła, z córką się namówiwszy, do kościoła OO. Do-

»minikanów, w sam dzień w Niebostąpienia P. M. przyszła. »Tam po skończoném nabożeństwie, w jednym kącie kościo- »ła ukryła się, zaczém drzwi zamknięto i zakonnicy w go- »dzinę obiednią do stołu poszli. Wkrótce dostatecznie przej- »rzawszy wszystko, do cymboryum się zbliżyła i drzwiczki »z trudnością wyłamawszy, z puszki trzy małe hostye świę- »tokradzką ręką wzięła, które w chustkę zawinąwszy, w cie- »mnym kącie znowu się utaiła, póki po zejściu się ludu na »nieszpory, wolnego z kościoła wyjścia nie upatrzyła. Przy- »jęli Żydzi z pociechą tę przysługę niezbożnéj niewiasty, i »dawszy jéj znakomitą nagrodę, od siebie odprawili. Tym- »czasem rabinowie, zwoławszy starszych Żydów, udali się »do kamienicy między mieszkaniami swojemi leżącéj, a na- »ówczas szlachetnych Świdwów dziedzicznéj, w sklepie się »ukryli, gdzie stół przy filarze sklepienie trzymającym po- »stawiwszy, na nim trzy hostye porzucili. Jeden z nich po- »ruszony diabelską zapalczywością, nożem jednę hostyą prze- »bił, z któréj krew wytrysnąwszy, owego niegodziwego zło- »czyńcy twarz skropiła i tak mocno do niéj przylgła, iż ża- »dnym sposobem jéj potém obmyć nie było można. Za jego »przykładem inni Żydzi hostye częstemi ostrego żelaza raza- »mi kłóli, nadzwyczajnemi wrzaskami, bluźnierstwy syna bo- »skiego łżąc, a siebie prawdziwymi Izraelitami ojców swoich »naśladowcami ogłaszając.« Tu powiedziawszy Treter, że Żydówka jedna przytomna, od dawnego czasu ślepotą do- tknięta, odzyskawszy nagle wzrok, cud ten po mieście roz- głaszać zaczęła, tak daléj mówi: «Żydzi zobaczywszy, że ta »ich niegodziwa robota już do wiadomości powszechnéj przy- »chodzi, i nie małém niebezpieczeństwem im grozi, dołoży- »wszy wszystkich sposobów, któremiby hostye zgubić mogli »(albowiem i w ogień i w studnią wrzucone nie naruszone »zostawały,) ten między innemi wynalazek osobliwszy wymy- »ślili, aby dwóch ze starszyzny za miasto, gdzie pastwiska »i topieliska były, wyszedlszy, hostye w trzęsawicy zatopili »i błotem przyrzucili, na tém samém miejscu, gdzie dziś »wspaniały kościoł Bożego ciała wystawiony widzimy, wów- »czas zaś same tylko pastwiska miejskie i bagna były, dwie »darnie odwalili żerdziami i trzy hostye wdół włożyli, które »to miejsce dziś w kościele przykryte jest żelazną kratą. »Pawełek, syn pasterza miejskiego, po oddaleniu się Żydów »ujrzał trzy najświętsze hostye wznoszące się w powietrze, i »latające w górze, jakoby owe najbielsze motyle; a nawet i »bydlęta poklęknąwszy cześć ukłonu mi oddawały. Powiada to, »co widział, syn wracającemu z miasta ojcu, a po małéj »chwili widzi to własnemi oczyma pasterz, pomięszany, zo- »stawiwszy synaczka, do miasta pobiegł, oznajmując radzie »i magistratowi miasta, co własnemi oczyma widział; ale »osądzono go za szalonego i do więzienia w wieży przy bra- »mie wrocławskiéj wsadzić kazano. Daléj opisuje Treter, »jak pasterz dziwnym sposobem z więzienia wyprowadzony, »nakłonił przecie przez magistrat biskupa, który z najwięk- »szą uroczystością, z krzyżami i chorągwiami i światłem, »z processyą na to miejsce wyszedł, i niejakiemu księdzu »staruszkowi, wielką świątobliwością między ludem słynące- »mu, który się Jan Ryczywoł nazywał, rozkazał, aby bliżéj »bagniska owego przystąpiwszy, rękami hostye podniósł. »Uczynił kapłan rozkazowi zadosyć i cudownie owe święte »kommunikanty w ręce swoje wpadłe, biskupowi do rąk od- »dał, który je w kościele farnym Maryi Magdaleny złożył. »Ale hostye te, chociaż w zamkniętém cymborium były za- »chowane, na miejscu jednak, gdzie były znalezione, zawsze »się pokazywały. Wystawiono tedy w tém miejscu kapliczkę »i w niéj hostye złożono. W kilka lat późniéj Władysław »Jagiełło wzniósł w miejscu kapliczki wspaniały kościoł, »sprowadziwszy do niego Karmelitów trzewiczkowych. Tym »czasem nie zaniedbano także ukarać Żydów i świętokradzką »niewiastę. Złożono na nich sąd, przekonano o zbrodnię i »wydano wyrok wskazujący ich na następujące męczarnie: »przywiązani do pala wraz z ową niewiastą żelaznemi łańcu- »chami skrępowani, wszyscy potém podłożonym ogniem pie- »kli się i smażyli, i aby jeszcze większe im przydane było »karanie, psy zjadłe i rosłe do nóg ich żelaznemi łańcucha- »mi przywiązane, gdy gorącości ognia wytrzymać nie mogły, »członki ich ciała swemi okrutnemi kąsaniami, gdy już na »siłach omdlewali, szarpały i gryzły.« *)

Cóżkolwiek bądź, mieszkańcy Poznania zniewoleni przy- jąć niemiłych sobie przybyszów, wyjętych z pod juryzdykcyi magistratu, wyznaczyli im na mieszkanie osobną ulicę, zwa- ną Sukienniczą, i stawiali im tysiączne zawady, aby lud ten nie pochłonął z czasem całego handlu, a tym samym, aby nie podkopał pomyślności Chrześcian. Od téj chwili zaczęła się zacięta walka między miastem a Żydami, która trwając aż do upadku niemal Polski, kończyła się nieraz wielkim krwi rozlewem. Członkowie wszelkiego innego narodu opu- ściliby byli natychmiast, jeżeli już nie kraj, to przynajmniéj miasto, w którém ich tak okrutnie prześladowano. Żydzi pozostali w Poznaniu w przekonaniu, że wytrwałością i sta- łością w swych zamiarach pokonają swoich wrogów, a na- wet ducha czasu, i znajdą w Polsce ziemię obiecaną. Raz poraz wznawiały się sceny krwawe; w żadne święto uroczy- ste nie mógł się Żyd pokazać na ulicy bez oczywistego na- rażenia się na niebezpieczeństwo życia. Gromady chłopaków, opojów i t. p. czeredy szarpały, potyrały Żydów, pokazują- cych się na innéj, nie na swojéj ulicy. W roku 1468. z przy- czyny ognia, który u Żydów wybuchnął, i między innemi gmachami kościoł Dominikański wraz z klasztorem w perzy- nę obrócił, rzuciło się pospólstwo na domy żydowskie, złu- piło je i kilkudziesiąt Żydów zabiło. A lubo Kazimierz Ja- giellończyk ukarał za to miasto summą 2000 dukatów, prze- cież sceny podobne zdarzały się późniéj często. Szczegól- niéj nie dozwalało miasto Żydom posuwać swoich mieszkań daléj nad żydowską ulicę i ścieśniało wszelkiemi sposobami, osobliwie od początku 16go wieku, ich handel, przemysł i jakikolwiek zarobek: między innemi magistrat zabronił im w roku 1520. handlu cząstkowego. Mimo tego jednak Żydzi coraz bardziéj się szerzyli, nabywając coraz więcéj kamienic za obrębem swéj ulicy i przeciągając cały handel do siebie. To nabywanie domów i otwieranie kramów za ulicą żydow- ską, ułatwiała im szczególniéj szlachta, która posiadając dworce i kamienice w mieście, przedawała je Żydom drogo, wy- najmowała, nie oglądając się bynajmniéj na zakazy magi- stratu i protegując Żydów przeciw jurysdykcyi miejskiéj. Z tego źródła wynikały między miastem a Żydami częste za- targi, które królowie polscy zwykle na korzyść miasta roz- strzygali. I tak Zygmunt I. wydał w roku 1544. mandat do magistratu, aby Żydzi nad liczbę domów oddawna już posia- danych, nie ważyli się od kogokolwiek bądź nabywać do- mów; aby Żydzi obcy w przeciągu trzech miesięcy z miasta byli wygnani, i zkąd inąd do Poznania wdzierać się nie wa- żyli i w dni świąteczne nie handlowali. Zygmunt August upoważnił nawet magistrat do skonfiskowania domów żydo- wskich, przechodzących liczbę domów z dawna posiadaną. Gdy więc magistrat zaczął się krzątać około exekucyi posta- nowienia królewskiego, kahał żydowski widząc, że dalszym oporem i wybiegami niczego nie dokaże, uciekł się do zwy- kłych sobie w ostateczności kroków: pozyskał za pieniądze možnych pośredników i za pomocą ich odwrócił grożące mu niebezpieczeństwo.

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencya.

Odpis Słowianinowi z Węgier.

Wszystkich dotychczas Słowian, którzy przemówili za swoim ludem, a nie byli z Lachów, zwaliśmy pobratymcami,

*) Pierwszy, Długosz, czyni o tém zdarzeniu ogólną wzmiankę; Treter zaś żyjący w drugiéj połowie szes- nastego wieku, bliższe szczegóły, nie wskazując atoli źródła, podrobił. W księdze akt radzieckich zaczynającéj się od ro- ku 1398. nie masz o téj kradzieży najmniejszéj wzmianki, tylko pod rokiem 1399. zanotowano na marginesie ręką 17go wieku: *De Judaeorum furto Smi Sacramenti hic notandum.* Wszystkie inne archiwa podobne milczenie o téj historyi za- chowują.

Ciebie zaś nazwiemy Bratem. Pierwszy wołasz do nas przez wysokie Karpaty, a pierwszyś, co nie gubisz myśli w języku, narzeczach i słowach. Patrzysz raczéj, w czém było młodocianne zielone, a niesłusznie starożytném i siwém zwane życie przodków naszych. I postrzegłeś w niém swobodę i widzisz, gdzie i jak jéj zaród leży. Milsze nam jedno braterskie słowo z serca, niż tysiące tomów o imionach i zaimkach. Choć dalekie i ucienione myśli twoje w wiecach naszych Wasi Wojewodowie, Ruscy Kniazie i nasi nad Gopłem i Wartą Królowie tylko z ramienia wieców ludem rządzili w boju. Pokolenia zasiadłe na krańcach, dziś jeszcze pagórkami żałobnemi z glinianemi popielnicami znaczone, stały się najpierw łupem zaborców. Sas nad Elbą pierwszy u miecza księgę praw uwiązał i rzekł, że Słowianin, co się wiecami rządził i niewolnik jedno będą, i wspólném nazwiskiem Sklawe obejść się mają: niełepiéj i Wam poszło z po za Dunaju aż pod Karpaty, a czegoż złego nie wprowadzili za Dniepr Tatarzy? Mogliśmy Lachowie wszystkim podać rękę, bośmy byli czerstwi, przy siłach, bo wszędzie garsztka przytrzymywała jarzmo na ciżbach. Słusznie w waszém kącie za wielką zdawała się lachicka przyjaźń z Madziarami. Aleć tego nie przy narodzie wina: chciał los słowiański, że od wieków znajdywali się u nas bracia, co włoskiemi, niemieckiemi lub francuzkiemi szkłami opatrywali oczy, kiedy się swemu domowi przypatrzyć, albo co w nim nadpsutego sporządzić chcieli. Oni to feudalizm z żelaznėm berłem, z okazałością majestatyczną, z uciskiem słabszego od wieku do wieku podawali, a nawet między Lachów, kiedy nie mogli własnego, obce jarzmo wprowadzali. Oni scudzoziemczyli narodowe pamiątki, oni to sympatyą pokrewieństwa z Wami na madziarskich ucztach przy złotém winie z waszych gór zbieraném zatarli i wykorzenili.

Nie na Was przy Karpatach, ale na innych pobratymców, a nawet takich, co piórem walczą za lud cały słowiański, my słuszny żal wypowiedzieć możemy. Oni ze siłą chcą spokrewniać sprawiedliwość i w siłe, a nie w sprawiedliwości upatrują zbawienie. Wielu z nich w dziełach o słowiańszczyznie dławią ostatni zaród słowiańskiéj wolności; co najbardziéj przetatarzone, za nasze domowe odwieczne udają. Aleć ta ręka, co się często po błyskotliwe złoto wyciąga, nie potrafi odmalować naszéj starożytności, w któréj wszyscy tak równi byli, jak równo na świat przychodzą. Przypominaj, Bracie, gdzie możesz pobratymcom naszym, że minęły wiece. Pokaż im, gdzie najdłużéj lubo tylko w śladzie swoim przetrwały. Pamiętaj, że wiek długą miarą czasu dla człowieka, ale chwilką dla stumilionowego narodu. Gdzie się wielka myśl rozwija, tam i wielkie czyny przyjdą. Myśl jest to boska istota na ziemi, a Bóg jest wszechmocny.

Doniesienia literackie.

Z Galicyi nam piszą: Zdaje się, że blizka jest pora, w któréj pismiennictwo nasze z rozkosznych kwiatów żrałe owoce odsłoni. **Filozofia przyrody, antropologia, fizyologia** zaprzątają tu szczerze tęższe umysły. Gromadzą się materyały, przetrawiają pomysły i oblekają w najrodowitsze postacie. Ci którzy w nieceniu światła niespuszczają z oka własności poziomu, i większą lub mniejszą skuteczność myśli ich kierunkowi przyznają, obiecują sobie wiele po owych pracach, albowiem zajmują się niemi osoby, które w obóim względzie do dna przeniknąć i treść i wyraz nauki z samego wątka wysnuć są wstanie. Pracują tu także nad dokładnym ziemiopisem Polski. Udowodniona zdolność obok wytrwałości towarzyszą najlepszym chęciom w téj pracy. Jeden z krajowych starożytników wygotował świeżo ciekawy zbiór śpiewów bardzo dawnego obrzędu i myśli wraz z jego opisem dać go niebawem do druku. Mnogość takowych obrzędów w podgórzu karpackiem, przechodząca o wiele wszystko, co nam o nich z innych okolic Polski wiadomo, jak z jednéj strony obfitszy daje zaród do rozwinięcia narodowego dramatu, gdy z ukraińskich podań i pieśni snadniéj może rodowa epos wysnuć się daje; tak z drugiéj strony przychodzi w pomoc twierdzeniu, że tu była koleba Sławian, z któréj rozrodzone pokolenia posuwały się ku zachodowi, północy i południowi.

Od ukończenia trzeciego tomu pism Seweryna Goszczyńskiego nic tu szczególnego nie wyszło. Tom czwarty owych pism zawierający twory oryginalne ma wyjść niebawem w Lipsku podobno. Tom zaś piąty z takichże tworów złożony w Paryżu, czy w Strasburgu. U Zolingera w Wiedniu wyszły z druku Fraszki Franciszka Kowalskiego, tłumacza Moliera. Jest to zbiór wierszy po większéj części przygodnych, gładkich i nie bez dowcipu. Tamże u Pichlerowéj wyszedł ozdobnie przekład dramatu: »*Gryzelda*« przez Wincentego Tulliego. — U Piotra Pillera we Lwowie wyszedł już w roku 1839 drugi tom Sławianina przez Stanisława Jaszowskiego. — Od nowego roku wychodzą przy tutejszéj gazecie **Nowiny lwowskie**, po ćwiartce drukowanéj na tydzień. Artykuły tych nowin tłumaczone są z rękopisów niemieckich.

Zapowiedziane we Wrocławiu ziemiaństwo polskie Koźmiana obudza tu nie małą ciekawość. Spodziewają się powszechnie znaleźć w niem arcydzieło godne talentu tego pisarza.

Z **Krakowa** donoszą nam: Pan Strączyński, niegdyś posiadacz pięknego zbioru monet i medali polskich, wydaje nateraz w Warszawie: Odlewy żelazne najdawniejszych pieczęci, oraz dokładne facsimila dawnych przywilei i nadań z podpisami królów i książąt litewskich i ich pieczęciami. — Litografia banku polskiego, w któréj takowe wychodzą, zostając dziś pod dyrekcyą p. Seweryna Oleszczyńskiego, równać się będzie w niedługim już czasie, najlepszym za granicą. Dzięki troskliwemu ziomkowi!

Pan K. W. Kielisiński od lat kilku zbiera z największą pracą i starannością rysunki dawnych ubiorów polskich wojskowych i cywilnych. Młody ten rytownik, mając już nagromadzone materyały, zamyśla je wydawać poszytami. Szkoda, że roboty wyszłe już z pod jego rylca mało są znanemi.

Z **Warszawy** donoszą: Gazety wychodzące z Rouen zawierają bardzo zaszczytne podziękowanie p. Antoniemu Orłowskiemu, uczniowi byłego naszego konserwatoryum, nie tylko za gorliwe zajęcie się przyprowadzeniem do skutku, na korzyść ubogich, muzyki kościelnéj w dzień S. Cecylii, lecz oraz za dyrygowanie tą muzyką. Składało ją przeszło 100 osób. Obok nieśmiertelnych dzieł Bethowena, Webera, Cherubiniego, wykonane były kompozycye naszego professora weterana Elsnera, którym artyści i amatorowie tamtejsi najzasłużensze pochwały oddali.

W ogłoszonem świeżo zawiadomieniu, wydawcy przeględu dziejów polskich donoszą, że część tego historycznego zbioru, któréj autografowane exemplarze oddawna już są wyczerpane, w skutek wielu żądań postanowili przedrukować, jeźli znajdą dostateczną liczbę nabywców na pokrycie kosztów. Wydanie to mające objąć 18 arkuszy, ma kosztować 8 zł. pols.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*